



POCHODZENIE I ZASTOSOWANIE ORNAMENTU GEOMETRYCZNEGO

W CERAMICE PRZEDHISTORYCZNEJ.

3)

Nierzadko widzieć można przytem u dna plecionych koszyków cztery albo też i sześć jakby szprych, których zadaniem jest utrzymanie kolistej formy naczynia (rys. 2, fig. 4 i 5).

Na szyjce i brzuszczyku naczynia wytwarza się łatwo przez wzajemne zestawienie poziomych i podłużnych warstw plecionki ornament t. zw. schodowy (rys. 1, fig. 2), albo też na delikatnym równolinijnym tle szeroki pas zygzakowaty (rys. 1, fig. 5).

Na podstawie tych właśnie form i linii plecionki koszykarskiej nietrudno już wyjaśnić sobie pewną partycję ceramiki przedhistorycznej, tudzież użytych w niej technicznych motywów zdobniczych. Rozpatrzmy

więc w dalszym ciągu stosownie do omówionego powyżej poglądu rozmaite motywy, ukazujące się w neolitycznym garncarstwie ziem słowiańskich.

Zupełnie pojedyncze poziome uwarstwienie, odpoziadające spiralnej budowie plecionej miski (rys. 2, fig. 3) widzimy na glinianym naczyniu, pochodzącym z cmentarzyska we wsi Złotej w Sandomierskiem (rys. 3).⁵ Dr. K. Hadaczek, opisując¹⁾ wszystkie wyroby ce-

ramiczne, wydobyte w tej miejscowości, oznacza okaz ten jako nakrywkę amfory i



Rys. 4. KUBEK; rys. 5. CZARA GLINIANA ZE ZŁOTEJ; rys. 6. CZARA ZE ZŁOTEJ.

¹⁾ Dr. K. Hadaczek. Neolityczne cmentarzysko w Złotej w Sandomierskiem. Materiały antrop.-archeolog. Kraków, 1906, tom IX, (z 10 tabl.).



Rys. 3. NAKRYWKA AMFORY.

powiada, iż ściana boczna jego ozdobiona jest gęsto ułożonymi liniami sznurkowej roboty. Sznurkowe te linie to oczywiście albo wprost odciski powróśla, z którego utworzona była model-miska pleciona z łyka, albo też podobizny, wzorowane tylko na ścianach plecionego naczynia, a nie jego odciski. Brzeżek dna pokrywają krótkie proste kreski, zataczające koło, w którym za pomocą rzędów kresek wciętych, oznaczone są dwie średnice przecinające się pod kątami prostymi. Średnice te mogą być reminiscencją szprych, użytych w wyżej wspomnianych i przedstawionych plecionych naczyniach japońskich (rys. 2, fig. 4 i 5). Czwartki zaś kołowe między średnicami pokryte są również rzadkami krótkich kresek wgłębionych.

Charakterystyczne są dna naczyń glinianych (fig. 6 i 7) z Miechowa i Kacic w Kieleckiem; zwłaszcza miechowskie zwraca uwagę swem ogromnym podobieństwem do dna plecionego naczynia, wyobrażonego na (rys. 2) fig. 5. Drewniane szprychy widzimy zastąpione na niem trzema liniami wypukłymi, przecinającymi się niezupełnie symetrycznie nawzajem.

Podobne poziome uwarstwienie, użyte jako ornament, widzimy także na kubku (rys. 4.), pochodzącym również ze Złotej, na którym przytem obserwować możemy u górnego brzeżka wydatny obręcz dźwigający, jaki poznaliśmy u afrykańskich naczyń plecionych (rys. 1, fig. 1). Kubek ten, według opisu d-ra K. Hadaczka, barwy szarej, miejscami poczerniony, wysoki jest 12 cm., szeroki u dołu 6 cm., u góry zaś 9 cm. Górna połowa ozdobiona jest fryzem odgraniczonym podwójnymi liniami sznurkowej roboty.

Na polu fryzu występują linie lekko sfalowane. Pod fryzem ciągnie się rząd krótkich kresek pionowo wgłębionych, które oznaczają przejście poziomej struktury szyjki w podłużną brzuszcza.

Pionowa ta struktura w całych liniach oddana jest w małej czarze ze wsi Złotej (rys. 5); pod odchylnym nieco od środka brzegiem występuje na niej pięć poziomo biegnących linii równoległych, poniżej których ciągnie się właśnie rząd krótkich, pionowo ułożonych kresek.

Na reszcie naczyń (rys. 6—11) pozioma struktura górnej partyi oraz pionowa dolnej rozmaicie jest uwydatniona. Na rys. 6 i 7 górną część obiega linia lekko falista, dolną zaś zdobią krótkie kreski pionowe; na rys. 10 widzimy ornament, poznany już z wzorów plecienia (rys. 1, 1a, 3).

Zwrócić należy również uwagę na ucha przy naczyniach rys. 6, 9, 11, (rys. 6 przedstawia czarę ze Złotej, rysunek zaś 9 i 11 ornamenty naczyń z Dobieszewka i Słapanowa w Poznańskim¹⁾). Zwłaszcza ciekawe jest ucho przy czarze ze Złotej: występują na niem w różnych odstępach podwójne linie poziome sznurkowej roboty, między którymi rozmieszczone są rzędy krótkich kresek pionowo wciętych. W miejscu gdzie ucho schodzi się z brzegiem, widoczne są dwie wypukłe nitki, tworzące rodzaj półksiężyca. Krótkie linie podłużne przypominają najniezawodniej pęk słomy lub trawy, z której kręcono powróśla, używane jako ucha przy naczyniach plecionych, podwójne zaś wcięcia poziome przedstawiać mają sznurki, ściskające w pewnych odstępach pęk słomy, z której pleciono ucho.

Rozbieżne zaś na boki linie u spodu niewielkich uch na rys. 9 i 11 są również pozostałością z owych czasów, kiedy przy plecionych naczyniach umocowywano ucha przy pomocy do szwów podobnej plecionki, przetykanej przez ścianki naczynia.

Zastanowić się jeszcze należy, dlaczego człowiek przedhistoryczny z chwilą zapoznania się z użytkowaniem gliny i nadal jeszcze trzymał się dawnych utartych form i zwyczajów, chociaż miał już z odmiennym materiałem

¹⁾ Łepkowski—ornamenta popielnic będących w Gabinetie archeol. uniw. Jagiellońskiego Kraków, 1876 (Karta 2 rys).

do czynienia. Wy tłumaczenie tego znaleźć możemy w faktie dłączo i dzisiaj jeszcze tak często spotkać możemy lampki elektryczne, imitujące świece, lub malowidła ścian, naśladowujące np. deski i belki. Od wieków bowiem dzieje się, iż powodowany tkwiącym w nim konserwatyzmem niechętnie zrywał człowiek z przeszłością, którą dla jej niepraktyczności lub bezużyteczności zmuszony

był porzucić, czyniąc to jednak zawsze z widocznym żalem. Z tego też powodu z upodobaniem nadawał i nadaje nowym rzeczom dawniej już znany i przyjęty wygląd lub też szczegóły jedynie, jakie przypominają mu mają zarzucone z konieczności praktyki. Dopiero stopniowo przy używaniu jakiegoś nowego materiału rozwija się specjalnie właściwa mu technika i forma, znajdujące później odpowiednie sobie zastosowanie przy znacznym rozwoju kultury. Długie też wieki istniejący użytek naczyń plecionych dał początek pewnemu trwałemu stylowi, który czynił naturalnym, iż pewne kształty i ozdoby uznawać zaczęto za wprost konieczne i przekazywano je w spadku i późniejszym czasie.

Gdybyśmy zajęli się głębszą analizą dzisiejszych naczyń, choćby najnowszych nawet sдобyczy kulturalnych, to zawsze gdzieś na

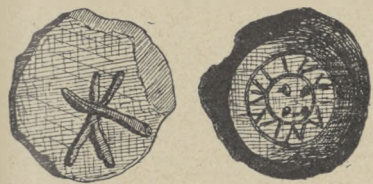
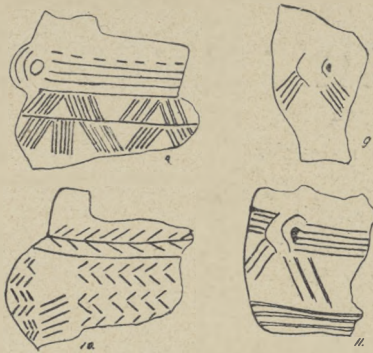


Fig. 6. DNO NACZYŃIA Z WYPUKŁYM ORNAMENTEM z Miecbowa; fig. 7. DNO NACZYŃIA z Kacic (w Kieleckiem).

dnie znajdziemy ukrytą drobnostkę, przypominającą zamierzchnie wieki naszego stopniowego rozwoju, którego etapy da-

dają się w ten sposób i dzisiaj jeszcze z nikłych śladów odbudować. Prócz techniki wzorowanej na przedmiotach nieorganicznych i stanowiącej nieodłączną jej właściwość znana jest zwłaszcza na południu i w połudr-wschodniej Europie ornamentyka nie oddająca wcale struktury, lecz



8 i 9 — z Dobieszewka; 10 — z Małych Jezior (poznańskiego); 11 — z Stopanowa.

stanowiąca ozdobę jedynie jako poboczny dodatek. Pochodzenie i rozwój tego odmiennego zdobnictwa zawisły był od innych czynników, wśród których najważniejszą rolę odegrał naturalny materiał, jakim rozporządzać mógł człowiek w tych stronach. Nie mogło więc bez śladu pozostać użycie tykwy czy też jaja strusiego, ale jak tego dowodem

staroegipskie lub wogóle południowe wyroby ceramiczne, odbiły one wybitnie odmiennie piętno na garncarskim przemyśle w tych krajach. W takich warunkach i ornamentyka dopuszczała nadewszystko z samego odmiennego traktowania materiału wynikłe najrozmaitsze szczegóły i właściwości, znane tylko tym wyrobom.

Wiele już mamy na to dowodów, iż kultura obszaru egejskiego bezwarunkowo nie jest jedynie wpływem południa, a owszem silnie związana jest z północą. Neolityczne naczynia z spiralnym malowidłem w połudn.-wschodniej Galicyi, Ukrainie, Bukowinie, Rumunii i Siedmiogrodzie przypominają bezsprzecznie kulturę mykeńską, chociaż — jak to już wykazał prof. M. Much ²⁾ — najdawniejszy ornament spiralny środkowej Europy jest starszy od kultury mykeńskiej i nie mógł być też od niej zapożyczony. Ośrodkiem z którego rozszedł się on po reszcie Europy, dając podstawę tak zwanej ceramice wstęgowej (Bandkeramik), powszechnej na Śląsku i w Czechach, a sięgającej środkowych Niemiec, były według Hub. Schmidta kraje niziny naddunajskiej wraz z sąsiednim wschodnim obszarem przykarpackim ³⁾.

(d. n.)

B. Janusz

¹⁾ M. Much. Die Heimat der Indogermanen. Jena 1904.

²⁾ Zeitschrift für Ethnologie, Berlin, 1903, str. 468.



O zamkach polsko-inflanckich.

3)

Położenie tych siedmiewiekowych murów na wyniosłej górze, zdobiącej południowe wybrzeża rozległego jeziora Rażna, jest niezwykle malownicze. Znany pejzażysta Napoleon Orda zdjął ich widok z natury w roku 1875 wyłącznie dla piszącego i dlatego nie umieścił go w ciekawym swym zbiorze widoków. Staranną akwarelę Napoleona Ordy wcielił piszący do cennych zbiorów ryskiej biblioteki miejskiej, a mianowicie do wielotomowego rękopiśmiennego dzieła Jana Krzysztofa Brotzego, stanowiącego cenny unikat wspomnianej biblioteki. Tytuł dzieła: „Sammlung verschiedener livländischer Monumente“. Składa je dziesięć tomów in folio majori, zdobnych w tysiące odręcznie wykonywanych ilustracji, odznaczających się wiarogodnością, i w znacznej części przez tego równie uczonego jak sumiennego badacza przeszłości inflanckiej własnym jego tekstem zaopatrzonych. ¹⁾

Kiedy zamek wolkimborski przeszedł do rąk prywatnych? nie wykazują źródła nasze. Pewnem jest tylko, że od roku 1271 nie służył on już więcej zgoła za miejsce warowne i za czasów polskich świecił pustkami, jako i dzisiaj. Liczne lustracje jeszcze w wieku XVI dokonywane, nazywają ten zamek stale „arx Wolkimborek“ lub „Volkimborg“ i świadczą, że w r. 1582 należał on do młodej wdowy, Magdaleny de Valckersham. Wiemy też z rewizji inflanckich za czasów Stefana Batorego i Zygmunta III, w latach 1584, 1590 i 1599 dokonywanych, że Magdalena de Valckersham połączyła się powtórnym związkiem małżeńskim z rycerzem Bernardem à Fursom i miała z nim syna, Jana, który w r. 1598 odziedziczył Wolkimbork z przyległościami. Czytamy bowiem w rewizji inflanckiej z roku 1599 pod rubryką „Capitaneatus Rositensis“ te oto słowa: „Nobilis Joan-

nes à Fursom produxit Privilegium pergamenum Sigismundi III, qui restituit bona sua haereditaria Wolkimborg, Dustechal, Zibendorff (dzisiejsze Andreпно) cum Arce vetustissima tempore belli moschovitici adempta“ i t. d.¹⁾

Obecnie góra Wolkenberg wchodzi w skład dóbr Andreпно (stanowiących od drugiej połowy wieku XIX dziedziczną własność Moniki z Szadurskich Benisławskiej), które to odwieczne dobra nadraźnieńskie od końca wieku XVII do XIX stulecia należały stale do inflanckiej gałęzi powszechnie znanego rodu Sołtanów, i dopiero przez Marszałka Nadwornego Wielkiego Księstwa Litewskiego, Stanisława Sołtana, posła na Sejm 4-roletni (ur. w Andreпно 1756 r. † w Mitawie 1836 r.), dziada dziś żyjącego dziedzica Prezmy w pow. rzeżyckim, Władysława Sołtana, Józefowi Szadurskiemu sprzedane zostały, jak o tem świadczą akta sprzedażne, w archiwum przemieńskim starannie po dzień dzisiejszy przechowane.

Na 52-giej karcie olbrzymiego albumu „Terra Mariana“, ofiarowanego Leonowi XIII ku uczczeniu 50 letniego jubileuszu Jego kapłaństwa przez wszystkich katolików rzymskich, zamieszkujących i obecnie dawne kraje inflanckie, już od XVI stulecia przeważnie odpadłe od katolicyzmu, artysta mitawski, malarz-miniaturzysta Oskar Felsko, przedstawił w wytwornej kompozycji akwarellowej, obok udatnie wykonanych widoków komtury wolkimborskiej, oraz dawnej komtury dynemborskiej, dokąd komtura wolkimborska w r. 1277 przeniesiona została,—inflancki sztandar Bogarodzicy, pojęty nader artystycznie. Załączamy tu tę wierną, lubo bardzo zmniejszoną reprodukcję owej barwami i srebrem wykonanej karty wielkich rozmiarów.



Odcisk pieczęci komtura Wolkimborskiego z roku 1271, na żółtym wosku. W około napis: † S. COMENDATORI WOLKENBERG.

¹⁾ Ob: „Revisio privilegiorum Nobilitatis civitatum et Incolarum ultra Dunam in Livoniae Ducatus instituta Comitiorum proxime p-teritorum Varsaviensi autoritate Ill-mo Ill-is Magnificis et Generosis Dominis Gratiae Sae Regiae Majestatis Ordinumque Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae Delegatis in Livonia Comissariis: Dm. J. Demetrio Solikowski Archep. Opolensi, D-no Leoni Sapiecha M. D. L. Cancellario, D-no Georgio de Schenking Vendensi Castellano, D-no Matha Lenick Dorpatensi Castellano, D-no Bertramo Holzschur Dorpatensi Succamerario et M. R. Secretariis: D-no Joanne Wischek et D-no Davide Hilchen A-no D-ni 1599-no“. (Księga rękopiśmienna in folio, przechowywana w Archiwum Inflanckiej Izby Rycerskiej).

¹⁾ Dla krajoznawców winniśmy tu zaznaczyć że o Inflantach polskich traktują tomy I, V, VII, VIII i X tego dzieła J. K. Brotzego. Pojedyncze strony tych tomów, na których podaje autor wizerunki z dawnego województwa czyli księstwa inflanckiego, oznacza książka nasza „Inflanty Polskie“ na str. 164 i 165-tej ze ścisłością bibliograficzną dla ułatwienia odszukiwania widoków z Inflant polskich, jako to: Dynenburg, Lucyn, Krzyżbork, Pelec, Pusza, Marynhaus, Rozentów, Rzeżyca i t. d. a które wszystkie są wykonane w XVIII stuleciu i stanowią cenny materiał do krajoznawstwa naszego.



WOLKENBERG.

Fig. rys. Nap. Ordy.

Biała tkanina fałdzistego sztandaru uroczy odbija się w oryginale od wiśniowego tła, pokrytego renesansową, plastycznie traktowaną ornamentacją barwy lśniąco żelaznej. Obok armatur rycerskich, zdobnych w świeżą zieleni dębową, a tworzących wspaniałe panoplium, stanowi ona najpiękniejszą część karty. Ornamentyka renesansowa błyszczy tu od srebra i rozmieszczonych na tle srebrystem

czzerwonych mieczów i gwiazd Zakonu kawalerów mieczowych („Fratres militiae Christi de Livonia“), oraz czarnych krzyżów przewrotnego Zakonu krzyżackiego („Fratres domus Teutonicorum per Livoniam“).

Pomiędzy herbami i godłami obu rycerskich Zakonów widnieją także wierne podobizny odcisniętych na żółtym wosku komandorskich pieczęci, stosujących się wyłącznie do obu zamków, jakie artysta na tej olbrzymiej karcie dziwnie harmonijnie odtworzyć zdołał.

Najdawniejsza i najcenniejsza jest pieczęć komtura wolkimborskiego z roku 1271. Brzeżek jej lewy przykrywa po części biały sztandar Niepokalanej Dziewicy („Vexillum beatae Virginis Mariae“), od którego wszystkie dawne

krainy inflanckie wzięły wspólną nazwę: „Terra Mariana“, niegdyś powszechnie im daną.

Przechodzimy z kolei do komtury dynemborskiej, na tejsze bogatej karcie przez artystę przedstawionej.

(c. d. n.)

Gustaw Manteuffel.

Ogródek morwowy z r. 1524.

Szperając przed dwudziestu pięciu laty po ladach cechowych sławkowskich, natrafiłem w skrzyni cechu szewskiego na pożółkły półarkuszek papieru, zawierający kilkanaście zapisek cechowych z XVI wieku. Są to między rokiem 1524 a 1555 kreślone notatki o poczynionych przez różne osoby na rzecz sławkowskiego bractwa szewskiego i żebraczego darowiznach. W pierwszej zaraz pośród tych notatek, opatrzonej datą „roku pańskiego 1524 w piątek nazajutrz po bozym wstąpieniu“, znajduje się między innymi, ustęp treści następującej: „Także ogródek, kturi oddała pobożnej pamyeczny Anna Sthachowa, ktury leży myędzy myedzamy: z yednej strony Mykolaya Nossky, a z drugiey strony Woyczyecha Przypadła, myędzy nymy lezaczy, bratstwu sewieczkiemu, ktury ze z morwy trzyma Kucznyerz, s piaczy grossy do-

sycz uczyny tenze Kuczmyerz powynnosczy swoyey“.

Jak wynika z powyższej zapiski, istniał w Sławkowie (pow. olkuski) w r. 1524 ogródek morwowy, utrzymywany specjalnie na potrzeby rzemiosła kuśmierskiego. O dalszych losach owego ogródka dowiadujemy się jeszcze coś nie coś z dwóch późniejszych notatek; oto one:

„Roku panskyego 1525. Guth ten ogrodek trzyma y po piaczy grossy z nyego placycz ma; yz sye go plotem ogrodzycz obowiazal, yako go dlugo trzymacz bedzye, tak placycz ma od nyego.

Roku panskyego 1534. Ja Wawrzynyecz Pasyerbek trzymam pod czynssem ogrod bratstwa szweczyckyego pod liczbam grossy piaczy“.

Co się stało z ogródkiem morwowym po roku 1534, zapiski nasze milczą.

St. Ciszewski.

Soboty.

Przebywając jakiś czas w Kraśnie, (środkowa Galicya), dowiedziałem się, że w niedalekim stąd powiecie gorlickim podcienia koło dawnych kościołów drewnianych nazywają się sobotami, i że to rzecz znana na całym Podkarpaciu. Wiadomości te znalazły najzupełniejsze potwierdzenie w książce Józefa Łebkowskiego: *Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa* (Warszawa 1863), wskazanej mi łaskawie przez dr. St. Tomkowicza z Krakowa. Książka ta zawiera następujące wzmianki o sobotach:

Str. 87—8. Kościół (w Osieku) drewniany istniejący dotychczas, w otoczeniu sobotami (ganki, zwane inaczej zamsze), wieży sześciogranej z ostrym szczytem w wewnętrznym rozkładzie mimo restauracji zachował typ świątyń drewnianych XVI stulecia.

Str. 91. Witkowice. Drewniany kościół tej wsi w wieży, sobotach i zakończeniu chóru połową ośmiokąta zachował cechy, charakteryzujące styl wieku XVI.

Str. 95. Willamowice. Erekcja kościoła wedle tradycji sięgać ma XVI stulecia; sam budynek drewniany nie wcześniejszy nad wiek XVII—wokół soboty.

Str. 96. Komorowice... dzisiejsza drewniana świątynia tylko w otaczających ją sobotach i wieży zachowała typ budowli XVII stulecia.

Str. 97. Pisarzowice. Dzisiejszy budynek kościelny drewniany o baniastej głowicy wieży na podstawie ostrosłupa ściętego z czworobocznymi kłapami, otoczony sobotami.

Str. 103. Roży. Kościół drewniany z sobotami, zakończeniem połową ośmiokąta i malowaniem pułapu charakteryzują wiek XVI-ty.

Str. 106. Wiekowice. Wewnętrzna budowa drewnianego tutejszego kościoła, jak: zakończenie za wielkim ołtarzem połową ośmiokąta, malowanie pułapu i zewnętrzne otoczenie sobotami odpowiadają zupełnie powyższej dacie 1577, wyrzytej w chórze.

Str. 106. Mikuszowice. W Mikuszowicach kościół drewniany z wieżą o gruszkowatej bani, z sobotami—budowa z XVII wieku po spalaniu dawniejszego.

112. Lipowa. Budowa drewnianego tutejszego kościoła ma cechy XVI stulecia—wieża, soboty; malowanie pułapu.

Str. 150. Palczowice. Jodłowy kościół tutejszy otoczony sobotami zachował wiele typu z XV wieku.... Rok 1498 wyłobiony nad drzwiami głównymi wskazuje czas jego powstania.

Str. 169—160. Witanowice. Drewniany kościół... Mimo wieży o baniastej kopule (z czasów nowszych) zachowała ta sobotami okólna świątynia wszystkie cechy XV stulecia.

W drugiej, wskazanej mi przez dr. Tomkowicza, książce Łebkowskiego: „Ułamek z podróży archeologicznej po Galicyi, odbytej r. 1849“, Warszawa 1850, wyrażenia soboty nie znalazłem.

Wzmiankę o sobotach znajduję także w 12 numerze „Ziemi“ z r. 1910, str. 192, w sprawozdaniu z posiedzenia zarządu Tow. opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury, z czego widzę, że pamięć o sobotach w świecie naukowym polskim dotąd nie zaginęła, jak żyje tu i owdzie w pamięci iudu.

Dla dobra nauki polskiej i polskiej kultury ośmielam się zapytać na tej drodze znawców sztuki budowniczej, odkąd w budownictwie polskim i czy tylko na Podkarpaciu znane jest to wyrażenie i czy wyłącznie odnosiło się ono do podcienia koło kościołów, a wszystkich ludzi dobrej woli w Polsce, czy znane są soboty w ich stronach i czy stosują się wyłącznie do kościołów. Łaskawe listy do mnie proszę adresować do Lwowa (ul. Św. Wojciecha, l. 2a), lub do redakcji „Ziemi“, która ewentualnie zużytkuje je w swoim piśmie albo mnie odeśle.

Szymon Matusiak.



NIEPOŁOMICIE.

2

Po pierwszym podziale Polski przeszło starostwo niepołomickie jako królewszczyzna w ręce rządu austriackiego i dotychczas jest jego własnością z wyjątkiem drobnych obszarów lasu, pozostających w prywatnych rękach.

Puszcza niepołomska niegdyś rozległa, bo ciągnąca się od pierwszych osad okalających Kraków aż po samą Rabę i Wisłę — i dziś jeszcze w obszarze swym liczy około 22 tysięcy morgów, jednak wskutek używania drzewa do żup bocheńskich i wielickich za czasów Rzeczypospolitej, jak również w pierwszych latach rządów austriackich niszczała ogromnie; niemniej przyczyniły się do tego częste pożary, z których ostatni, może najgroźniejszy wskutek posuchy, zniszczył dość znaczną powierzchnię lasu od strony Bochni w 1904 roku.

Dziś w puszczy grubego zwierza niewiele, są tylko sarny, dziki i lisy, jednak w niewielkiej ilości. Łosie wyginęły zupełnie, wilki ukazują się tylko czasami, przechodząc podczas silnej zimy z lasów zawiślańskich. Tylko drobna zwierzyna, a szczególnie zajęce żyją w puszczy w dość znacznej liczbie, — i stają się niejednokrotnie plagą okolicznych pól.

Roślinność puszczy odrębna — szczególnie w dość licznych miejscami bagniskach i jeziorskach leśnych. Drzewostan puszczy przeważa szpilkowy, jednak znajdują się dość gęste obszary drzew liściastych, — jak grab, dąb, jawor, czasami brzoza. Przez puszcę przechodzi dziś kilka dróg kołowych, oraz dotykają naskraju kolej żelazna między Podlężem a Bochnią. Stacja kolejowa Kłaj leży na krawędzi puszczy, zaś niedawno otwarty przystanek Gródkowice w samej puszczy w

uroczem zaciszu. Przez otwarcie tegoż przystanku Gródkowice stały się miejscem wycieczkowem krakowian, którzy tu gromadnie wyjeżdżają w dni świąteczne. Jednak pomimo bliskości Krakowa, jak też malowniczości okolicy, puszczy dotąd nie użytkowano dostatecznie, zapewne z obawy przed malarją. Dopiero w r. b. powstał projekt wzniesienia szeregu letnisk dla kolonii wakacyjnych młodzieży szkolnej w Gródkowicach; może to będzie krok przełomowy w dziejach puszczy niepołomickiej.

Sama miejscowość Niepołomice wskutek kreowania tu licznych urzędów austriackich, jak sądu powiatowego, urzędu podatkowego, skarbowych urzędów celnych oraz załogi wojskowej, wreszcie wskutek puszczenia w ruch jednej z pierwszych krajowych fabryk cegieł i dachówek podniosła się znacznie i została zaliczona do rzędu miasteczek. Liczba mieszkańców dochodzi do 5 tysięcy. Miasteczko, którego ludność obok garstki urzędniczej inteligencji i kupiectwa żydowskiego stanowią rolnicy — przedstawia się nader sympatycznie w swym wyglądzie zewnętrznym.

Po obu stronach drogi stoją szeregi domków parterowych o wyglądzie skromnych will z ganczkami od frontu wśród ogródków pełnych zieleności; tu i owdzie chata wieśniacza lub niepokazna kamieniczka. Czy przypadkowym zbiegiem okoliczności, czy też oddziaływaniem bliskości

Krakowa — w miasteczku tętni wcale mocno życie narodowe, — mocniej niż w każdej innej miejscowości galicyjskiej w podobnych warunkach. Od kilku lat istnieje tu „Sokół“, rozwijający się wcale pomyślnie a posiadający już własne gniazdo, — jest tu i koło Tow. Szkoły Ludowej, Czytelnia,



KOPIEC GRUNWALDZKI W NIEPOŁOMICACH.

Fot. S. Warholik.

Kasyno, świetnie prosperujące kółko rolnicze i kasa oszczędności i pożyczek. Szarzyzną życia urozmaicają liczne przedstawienia, wieczorki patryotyczne



BRAMA ZAMKU NIEPOŁOMICKIEGO. *Fot. S. Warcholik.*

i zebrania. A najlepszym dowodem tej ruchliwości Niepołomic w życiu publicznym będzie niezawodnie obchód grunwaldzki, upiękuszony poświęceniem kopca grunwaldzkiego, powstałego dzięki nietylko inicjatywie, ale i osobistym zabiegom mieszkańców Niepołomic.

Obok odwiecznej puszczy, której każdy zakątek, każda ścieżyna ma swą barwną legendę z czasów polskich,—wznosi się na lekkim wzniesieniu w północnej stronie miasta zamek królewski. Ogromna ta jednopiętrowa budowla zbudowana w czworobok zachowała się do naszych czasów tylko dzięki temu, że rząd przeznaczył ją na koszary wojskowe.

Na zewnątrz zamek zaopatrzone był niegdyś w baszty, które jednak później rozpadły się w gruzy. Fronton zdobią polskie herby państwowe królewskie oraz liczne emblematy łowieckie. Brama sama utrzymana w pięknym renesansie — przypomina żywo ornamentację zamku wawelskiego. Ale przede wszystkim wspaniałe są krużganki okalające obszerny czworobok wewnętrzny zamku lekką kolumnadą, jaką spotyka się również w zamku wawelskim. Z sal najciekawsza jest jedna sięgająca wysokości pierwszego piętra — niegdyś wsparta na filarze, a odznaczająca się niezwykłą akustyką. Zamek po pożarze w 1875 r. znizony o jedno piętro, zaniedbany niszczał, groził ruiną. Dopiero

podniesione skargi pod adresem opieki konserwatorów zmusiły rząd do restauracji, którą obecnie przeprowadza.

We wschodniej stronie rynku stoi kościółek ufundowany, jak już wyżej wspomniano, 1349 r. przez Kazimierza W. a poświęcony przez Bodzantę w 1358 r. Opieka królewska i panów polskich otaczała i ten przybytek, jak świadczą o tem liczne dyplomy i dokumenty, zachowane w archiwum tegoż kościoła: biskupa Bodzanty 1350 r. dotacja kościoła z 1358 r., z 1360 r. b. Bodzanty, nadająca probostwu dziesięciny, dyplom kard. Jerzego Radziwiłła z 1598 r., dotyczący dziesięciny z Grobli, Rudny, Dzwieni, Dziewina, oraz potwierdzenie tychże nadań przez Władysława IV, podczas jego pobytu w 1644 r. i Jana III w 1692 r. Nadto znajdują się tu listy Władysława IV w sprawie dochodów z żup bocheńskich w 1646 r. Kościół posiada dwie kaplice: Branickich z 1560 i Lubomirskich z 1640,—nadto w kościele znajdują się nagrobki rodziny Branickich, oraz dwa obrazy z XVII wieku, przedstawiające fundację kościoła niepołomiczkiego.

Z godnych widzenia rzeczy jest artystycznie wykonana krata w oknach, monstrancya, kielich z XV w., relikwiarz oraz portret oryginalny Karola Boromeusza, przywieziony przez Annę z Myszkowskich Branicką z Bononii. Tuż obok kościoła wznosi się ciężka wieża, wskutek późniejszych odnowień zeszepecona, zdobna nad bramą znakiem architekta.

Obok w murze cmentarnym okalającym kościół bramka pięknej renesansowej roboty, wykładana miejscami marmurem; zapewne jestto szczątek z tych ozdób i wkładów, jakie poczynił tu Branicki.

W okolicy kilka charakterystycznych starych figur przydrożnych.

.....

Niepołomice należą do tych uroczych zakątków ziemi krakowskiej, które mają w sobie jakąś siłę przyciągającą,—a duszę polską wprost przykuwającą, nietylko wspomnieniami przeszłości, ale malowniczością okolicy.

I w Niepołomicach, tej prawdziwej letniej rezydencji królewskiej, niewiadomo co bardziej przykuwa człowieka: czy ta szumiąca, zda się, bezbrzeżna puszcza, w której powiewie szuka ucho odgłosów łowów królewskich,—czy ten cichy, ponad domki niskie i szczyty drzew wyniosły swymi starymi murami zamek, który niegdyś, gdy wieki były „złote i szczęśliwe“, jaśniał wspaniałością i pełen był gwaru i życia,—czy też ta błękitną wstęgą przewijająca się pośród zieleni drzew nasza Wisła, w której „starej przeprawie“ szuka oko,



patrząc ażali nie dostrzeże pozłocistych pojazdów orszaku królewskiego na krotchwile zdążającego do Niepołomic;—czy może ta spokojna nizina nadwiślańska z porozrzucanemi na niej cichemi wioskami polskiemii,—jakby opasana z jednej strony zielonem pasmem puszczy, od południa odgradzona śmiało wystrzelającymi pagórkami podgórze karpackiego, z siniejącymi z poza nich w oddali Tatrami, a okraszona wspaniałym widokiem na prastary Kraków.

I niema nic piękniejszego nad wieczór w Niepołomicach, gdy promienie zachodzącego słońca w tysiącnych złocistych blaskach odbijają się na mnogich szczytach wież kościołów i gmachów krakowskich;—wtedy zda się, jakby jakaś niezwykła jasność szła z tego grodu królewskiego, jakby Kraków płonął jakimś przedziwnym ogniem. A od jaśniejącego tła odbijają się ciemną sylwetą górne mury wawelskie, jak jaka niestarta opoka wśród morza ognia i zniszczenia. U lewej zaś strony opromieniony ostatnimi blaskami wystrzela wyniosły kopiec Kościuszki,—a poniżej, jakby jego odbicie, zadumana nad królewskim grodem sinieje mogiła Krakusa. I gdy jeszcze ze wzgórze przydrożnego od Niepołomic wystrzeli wkrótce wysoki kopiec zwycięzcy z pod Grunwaldu, Jagiełły, ze szczytu jego dojrzymy ponad zielenią drzew mogiłę Wandy.

I odtąd u straży grodu jagiellońskiego stać będą cztery kopce, wzniesione ręką synów tej ziemi.

Stanisław Warcholik.



BRAMKA W DZIEDZIŃCU KOŚCIELNYM W NIEPOŁOMICACH.

Fot. St. Warcholik.




Sven Hedin w Tybecie.

Spokojnie i bez przeszkód ciągną teraz wędrowcy. Jedną za drugą przechodzi się małe przełęcze, na których leżą sztucznie usypane z kamie ni wzniesienia z tkwiącym pośrodku słupem, od wierzchołka którego rozciągnięto na cztery strony świata sznury z poprzypinanemi na nich wstęgami i łachmanami. Z pod jednego z tych wzniesień pokazuje przewodnik — młody Tybetańczyk o niezwykle uczciwej twarzy i miękkim, harmonijnym głosie—wysoką przełęcz pierwszorzędno znaczenia, którą jutro trzeba będzie brać szturmem. Już tutaj powietrze i otoczenie zdradzają zbliżanie się najwyższych szczytów, a pomiędzy szarym, bezbarwnym gruzem czepia się ledwie gdzieniegdzie nędzny mech. Nocą, kiedy wiatr ucichł zupeł-

nie, cicho jest i martwo, tylko słodkie tony fletów spływają w dolinę, srebrzącą się od twar dych i zimnych promieni księżyca. Mróz trzy ma ciągle, dochodząc do 33,9° i jest to temperatura, podczas której w namiocie nawet do brze zabezpieczonym od przeciągu, trudno utrzy mać ciepło i kiedy nieraz budzi się człowiek ze snu zlodowaciały pod górą futer. To też, choć konie i muły mają na sobie filcowe powłoki, marznie znowu jeden z niewielu ladackich koni, a reszta (7 sztuk) raczej do upiorów, niż do koni jest podobna.

I kiedy nazajutrz—28 stycznia—wstaje karawa na ze snu, czują wszyscy, że jeszcze jeden dzień twardej próby stoi przed nimi. Koło 10-ej z rana zry-

11)



wa się lodowaty wiatr przy zupełnie czystym, bez jednego obłoczka niebie, na którym skrzy się słońce—świetne, zimne—niemal, że urągliwe.

To też, kiedy już popołudniu karawana dochodzi do szczytu przełęczy Sela-la, wszyscy są nawpół martwi ze zmęczenia i zimna. Ostatnim wysiłkiem woli trzeba rozpaścić ogień, dla rozgrzania siebie i termometru, wstawionego w prowizoryczny namiocik z futer i filców; niestety otwór tego namiotu wypada tak nisko, że tylko leżąc na brzuchu, może Hedin odczytywać cyfry. Ale pomimo wszystko czuje, że radość i duma zalewa go prosto. Wszak to 5506 metrów wysokości mające siodło górskie, to jeden z najważniejszych i najmniej znanych w świecie działów wodnych, jedno z najciekawszych zagadnień geograficznych, jakie pozostały do rozważania. Daleko na wschód aż do wielkiego jeziora Tengri-noor ciągnie się ciemny kamienny wał, z północnych stoków którego wody płyną do jezior tybetańskiej lodowatej pustyni, z południowych zaś przez skwarne Indyje do morza. W ogólnych zarysach było to wiadome oddawna, ale jak w szczegółach wygląda ten zwikłany system górski, tyleż o tem geografowie białej rasy do 1907 roku wiedzieli, co o księżycu z jego stałe od ziemi odwróconej strony. Więc też pomimo, że ręce odmawiają już posłuszeństwa bezmała, opisuje Hedin pośpiesznie rozścielając się przed nim panoramę, notuje nazwy, usiłuje zrozumieć i domyślić się, jak w istocie te szczegóły, które ma przed oczyma, wiążą się w całość.

Nie jest to łatwe. Spadająca z przełęczy dolina Sele-nang leży już w mrocznym popołudniowym cieniu, a za nią, jakby rozszalałe od wichru i potem skamieniałe odrazu morze stromo sterzących cyplów, dolin, których dna trudno dojrzeć, całych łańcuchów gór, których ani początku ani końca nie widać. Żadnej bodajby najlichszej roślinności, żadnej płaszczyzny, żadnego momentu wytchnienia—to już nie posępna, groźna, mordercza, ale niemal równa płaszczyzna Czang-tangu, którą się przeszło niedawno, to w całym swym majestacie jedne z najwyższych i najdzikszych gór w świecie.

To też nawet już siedząc przy wieczornym ognisku nie mógł wzruszony do głębi podróżnik oczu oderwać od piętrzących się przed nim skał, które bezmała za swoją uważał własność, które zdobył na czele swej małej, dzielnej, wszystko zwyciężającej drużyny. Był to pierwszy dopiero krok, pierwsze w Transhimalajach¹⁾ odniesiono zwycięstwo, pierwsza przełęcz, za którą szły inne, je-

szcze nieznane, ale może właśnie dlatego wrazenie było tak silne, tak szczere i tak głębokie.

I jakby w nagrodę za poniesione trudy dzień następny był dniem ulgi i wypoczynku. Droga szła głęboką, ku słońcu zwróconą doliną, zasłoniętą od wiatru, zwiastującą nieodległy kres wysiłków i cierpień. Mimo to na zwykłej radzie wieczornej postanowiono, że trzeba będzie znowu kilka yaków dokupić albo wynająć, żeby nie utknąć bezradnie tu właśnie, przed samym nagrodę obiecującym końcem. I choć w pobliżu nie widać było namiotów, udało się wkrótce wynaleźć 25 yaków, których właściciele za skromną opłatą jednego tenga (około 40 groszy) dziennie od sztuki oddali je do dyspozycji karawanie.

Wogóle ludność tu była nastrojona znacznie życzliwiej. Może to było skutkiem pewnego przygotowania jej do nadejścia obcych przez wysłańca Kung-guszuka, który szedł o kilka dni drogi przodem, może z jakich innych bliżej nieznanych powodów, ale nigdzie nie spotykało się, jak tam w pustyni, ani podejrzliwości, ani biernej chociażby niechęci wchodzenia w jakiegokolwiek stosunki. Nie wyłączało to ciekawości, z jaką kto żyw biegł na spotkanie idącego od północy dziwa i na każdym postoju otaczał obóz żywy wał niemożliwie brudnych, ale sympatycznych tubylców. Języki przyciem obyczajem miejscowym wysuwano jak można najwięcej i prawą ręką drapano się w niekoniecznie schludnie utrzymaną czuprynę na znak specjalnego uszanowania i życzliwości. Po zapytaniu—mniej czy więcej długa i dokładna odpowiedź, poczem znów język wychodził nazewnątrz, odbijając się żywą, jaskrawą plamę na ciemnym tle nigdy bodaj niemytej twarzy.

Ruch tu był coraz żywszy, coraz więcej spotykano ludzi na drodze. Czasem byli to miejscowi mieszkańcy, dążący na święta noworoczne do Szigatse, czasem objuczone jęczmieniem karawany yaków, przy których bosą nogą szli przewodnicy, czasem jakiś uzbrojony od stóp do głów oddział milicyi, ścigający rozbójników, jeszcze kiedyindziej rozwścieczony mąż, który w otoczeniu przyjaciół gonił zbiegłą z jakimś filutem żonę.

Coraz też częściej spotykano ma ni, pomniki nabożności miejscowej, zwykle około 3 metrów długości mające, pokryte płytami z piaskowca lub szyfru, o niezwykle starannie wykutych dętym ozdobach i napisach.

I tak szło się krok za krokiem przez przełęcze i doliny, przez niewielkie wioski i odludne pustkowia coraz bliżej do celu, choć nie zawsze i nie wszędzie coraz łatwiej. Ciągłe jeszcze hamował pochód nędzny stan ostatnich niedobitków, które Hedin uparł się doprowadzić do końca, ciągle znęcał się mróz, od którego ludzie płakali krwawymi łzami. I ciągle dookoła ten sam labirynt.

¹⁾ W numerze uprzednim w 1-y m wierszu od góry pierwszej szpalty na 461 stronie mylnie napisano: Kara-korumu; winno być: Transhimalaj.

dzikich, poszarpanych, niedających się objąć okiem gór, który trudno jest usystematyzować i zapamiętać. Ale tem niemniej wszystkich ogarniała i prze naprzód jakaś żądza przebiccia się ku nizinom, żądza, która u Ladaków ma przytem podkład rosnącej z dnia na dzień egzaltacji religijnej.

I tak z zaciętymi zębami i z zaciekłością szli naprzód, aż do „końskiego przesmyku“, do Ta-la, 5436 metrów nad poziom morza. Ostatni kawałek drogi był tak stroiny, że trzeba było jakichś akrobatycznych sztuk wprost dokonywać, żeby się posunąć naprzód i nie zwalić przytem w przepaść. Ale kiedy się już stanęło na szczycie!

Po bokach jak dwa potężne słupy odwiecznej świątyni sterczą dwa ciemne szczyty. Dołem między nimi pną się, przewalają, spadają gwałtownie w dół i znów zuchwale ku górze strzelają rdzawe, poszarpane pagórki, im dalej, tem bardziej sine, błękitne, mgliste. A za nimi, na samym już krańcu jakiś inny świat gór, świat, któremu już bliżej do nieba chyba niżli do ziemi, taki się stąd wydaje lekki, taki powietrzny. Odległość, jaka go od Ta-la dzieli musi być znaczna, skoro wszystkie szczegóły są zatarte i raczej jakiejś ścianie tytanów, niżli łańcuchowi gór wydaje się być podobny, niebosiężny w swojej potędze, jasno-błękitny, od góry tylko śnieżnym rąbkiem od chmur przedzielony.

To Himalaje!

Za nimi wiecznie zielone, prastare a wiecznie młode Indyje, o których stopy rozbija się spieniona fala Oceanu; przed nimi kraj, dziki, groźny,

zaklęty i przed nimi — Szigatse i źródła Indu i Bramaputry!

Więc też Ladacy, którzy małemi grupkami nachodzą na szczyt, padają na kolana, nie mogąc odwrócić oczu od gór z obłokami pomieszanych i grupują się koło Sahiba, który siedzi, jak skamieniały na koniu, wchłaniając w siebie to marzenie, które stało się ciałem. Chwila jest osobliwa, jedyna, chwila, jaką się raz w życiu przeżywa.

Ale temniemniej przecie trzeba iść dalej. Coraz głębiej i głębiej spuszcza się droga, karkołomna, szalona droga po jakichś tarasach, które się kładą jeden pod drugim jak olbrzymie, zarzucone gruzem i odłamami skał schody. Coraz mniej widać Himalajów, coraz więcej ludzi, wsi, miasteczek, klasztorów, zamków. Z mniejszych przełęczy, jakie trzeba przechodzić, coraz lepiej widać dolinę Bramaputry, olbrzymią rynnę, którą się wody z tych kolosów zlewają; po bokach na wschód i na zachód ciągną się jeszcze niekiedy szczyty gór, odnóg Transhimalajów, wielkie, potężne, groźne jak wyciągnięte przed siebie łapy tygrysie. Nikłą w odali nicią wije się na południowy wschód droga do świętego miasta—do Szigatse.

Aż nareszcie droga, raz na złamanie karku spadająca wśród głębokich wąwozów, kiedyindziej snująca się nad brzegami przepaści, których dna dojrzeć trudno, wypływa na szeroką równinę, na którą wychodzą wszystkie spadające z gór doliny. Jedzie się wzdłuż pól, zasiewanych jęczmieniem, przez gaje topolowe, koło białych domków z dachami w niebieskie i czerwone pasy; żywności jest wbród, a konie i muły dostają do syta siana i jęczmienia. I kiedy się po raz pierwszy od niepamiętnych czasów usiadło przy ognisku nie z nawozu, ale z gałęzi zapalonego, wita się je jak przyjaciela, chciałoby się je wziąć w objęcia bezmała.

Mróz zresztą nie jest już tutaj groźny, wieczorem temperatura spada zaledwie do 3^o i drzwi namiotu stoją noc całą otwarte. Jeszcze długo po północy Ladacy śpiewają swoje hymny sanskryckie, jeszcze miękciej, rozlewniej płynie melodia, która Hedina do snu kołysze.

A przytem, co jest również rzeczą niema-



PRZYWITANIE TYBETAŃSKIE.



łej wagi—żadnych dotąd oznak, któreby niechęć rządu tybetańskiego zdradzały. Chińczycy, którzy są teraz w Tybecie panami, nic zdaje się o zbliżającej się karawanie nie wiedzą i przed nimi trzeba się strzedz, przychodzą natomiast posłańcy z darami od Czeppa-Dewy, przyjaciela Kung-Guszuka, którzy przynoszą ze sobą zarżniętego świeżo barana, tłusty, słodki placek z wyciskanemi na nim figurami i owocami, trzema kawałami masła i 30 jajami. Zatem przyjaźń na niewidzianego. Do Szigatse już tylko parę dni drogi. Nie pozostaje jak puścić się do niego z wielkim, coraz rosnącym potokiem pielgrzymów, dam siedzących po męsku na osłach, krów objuczonych sianem, i iść wzdłuż brzegów Bramaputry, w tych stronach zwanego

Tsangpo. Bo oto i on nareszcie. Cicho, bezgłośnie toczą się potężne, przejrzyste wody, zielonkawo-niebieskie, od brzegu cieniutką skorupką lodu pokryte. Po brzegach wysokie, do dwóch metrów dochodzące wały piasku, które potężne zachodnie wiatry usypują i które w czasie powodzi rzeka przynosi z miejsca na miejsce. Środkiem płyną barki do Szigatse; czasem mignie wśród nich, jak kryształ przejrzysta, tafła lodu, czasem skoczy w górę nagłym, gwałtownym rzutem ryba.

Obozem rozkłada się karawana w letniej rezydencji taszy-lamy, z precudnym na rzekę widokiem.

(c. d. n.)

St. Th.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

XIII.

Zamknięta przed kilkunastu dniami w Warszawie wystawa miast-ogrodów mogła zainteresować równie dobrze higienistę i społecznika, jak krajoznawcę, tego ostatniego cprawda nie tyle tem, co było na wystawie zgromadzone i pokazane, ile przez przypomnienie o tem, co być mogło i co być powinno. Zastrzegając sobie uzasadnienie tej myśli nieco poniżej, parę słów przedewszystkiem o samej wystawie.


Dość zgodnem naogół zdaniem krytyki i publiczności wystawa nie była bogata, nie uwzględniała w dość obszernym zakresie usiłowań i wysiłków, jakie tu i owdzie podjęto, jakie tu czy gdzieindziej osiągnięto. Być może nie uwzględniono przytem, nie uwzględniono przynajmniej w dość silnej mierze trudności, związanych z wprowadzeniem w życie nowego zupełnie nie już szeregu rzeczy konkretnych, ale pojęć i zapatrywań, dla których na naszym gruncie trzeba było ciąć drogę, jak w gęstym i zaniedbanym lesie.

Istotnie te rezultaty prac obcych, które nam na wystawie pokazano, odbijają się pomimo całej swojej skromności, dość rażąco od poczynań na swoim gruncie podjętych, od ich szablonu, ubóstwa i niemożności natrafienia na jakiś bardziej szczęśliwy punkt, z któregooby już dalsze usiłowania własnym swoim ciężarem lekko i łatwo potoczyły się naprzód.

Wyłączając interesujące, niekiedy piękne, z pewnym już polem rzucające na papier plany sa-

mych ogrodów, to co było do rozwiązania—miasto-ogród—uderza w olbrzymiej większości wypadków swoją, już nie powiem skromnością, ale oschłością, jakąś niechęcią czy niemożnością wejścia na wyższy stopień, odbicia najskromniejszego bodajby stempla własnej indywidualności. Nie jest to co prawda ani francuskie, ani angielskie, ani nawet niemieckie, ale nie jest też polskie, raczej jest żadne, odrobione jakby na obstalunek. I niestety wiemy, że to co istnieje u nas w rzeczywistości na gruncie, te koncepty i koncepciki, na jakie się zdobywają na całej przestrzeni Królestwa szczęśliwi posiadacze kilku mórg gruntu i nowowbudowanych na nich domków, istotnie nie wybiegają najczęściej po za jakąś przeraźliwą bladłość, nie utrwalają się w pamięci ani przechodnia, ani gościa, ani tych nawet, co w tem bezbarwnem, mdłym otoczeniu lata całe spędzają.

Nie mam oczywiście na myśli tak zwanych will, stawianych dziesiątkami czy setkami przez mniej czy więcej bezmyślne administracje naszych letnisk podmiejskich. Te jako nic wspólnego — ponad mieszkających w nich ludzi — z domem współczesnym niemające wspólnego nie wchodzi w rachubę. Co do ludzi zaś, sądzą, że znajdują się oni tam całkiem przygodnie, przez modę, przez nerwową potrzebę zmiany miejsca, dla stosunków towarzyskich czy dla partyi wintą; są oni w każdym razie tak doskonale od tych mieszkań swoich rozdzieleni, że w sposób najnaturalniejszy pod słońcem „wille“ taką można równie dobrze zapełnić ludźmi, jak zbożem, karto-



flami, starą cegłą, czem kto chce i czem kto potrzebuje nareszcie.

Zdaje mi się, że ideał, że punkt wyjścia był inny. Chodziło o wyrwanie człowieka z dusznej, niezdrowej, przesyconej chorobotwórczymi miazmatami atmosfery wielkiego miasta. Ale zarazem i w niemniej wielkiej mierze chodziło o odsunięcie go przynajmniej na czas pewien z pod niwelującego, jak walec szosowy, wpływu miejskiej szarzyzny, współczesnego a nieuniknionego szablonu, fałszywych apetytów, niezdrowych pożądań, blichtru, blagi, snobizmu i banalności, udawania tego, czem się nie jest, czem się być nie może i nie powinno. Chodziło, chodzić przynajmniej powinno było o ułatwienie bezpośredniego zetknięcia z naturą, o odnalezienie przy jej pomocy tego, co jest w człowieku zdrowszem i lepszem, o wystawienie na słońce „nagiej“ duszy, tak jak się wystawia nagie plecy, jak się bosą stopą brodzi po ożywczu świeżej i chłodnej murawie.

I chodziło też oczywiście o to, żeby sobie ten człowiek ze skrzywionym kręgosłupem, z zapadniętą klatką piersiową, szcerstwiąłą duszą i zanemizowanym mózgiem w tem nowem otoczeniu podobał, żeby się w nim rozkochał, żeby je uważał za dalszy ciąg swojego „ja“ i to ciąg lepszy, szlachetniejszy, odświętny. Żeby wkładał z siebie w swoje otoczenie tyle, na ile go stać, i żeby z niego wyciągał, tyle ile mu potrzeba. Żeby jego dom, jego ogród, jego otoczenie tak po pewnym czasie pasowały do jego duszy, jak pasuje dobrze skrojone ubranie, a nie jak płaszcz albo domino, wypożyczone na maskaradę.

Niechby się każdy człowiek budował, jako chce, jako jego możność, potrzeby i umiłowania mu każą. Niechby się otaczał barwnym i pachnącym kobiercem kwiatów ten, kto się w kwiatkach kocha; niechby się sadowił na stromem zboczu krawędzi, kto pragnie rozległego widoku pól, od których dech idzie szeroki; niechby się przytulał do mrocznej ściany leśnej albo spuszczał nad gładkie tonie wód, komu wola. Niechby tylko nie siedział w głupim drewnianem pudełku, podobnem do skrzynki pocztowej, w której go tu z miasta przysłali; niechby się nie garnął do kupy z innymi, żeby siedzieć jak na werandzie ziewając, gapiąc się i tęskniąc do prawdziwej—cukierni.

Gdyby w możliwie wielkiej ilości wypadków taki punkt widzenia był nietylko przyjęty, ale i konsekwentnie przeprowadzony, mniejby zapewne było u nas ludzi wiecznie i ze wszystkiego niezadowolonych, skrzywionych, skwaszonych, wszystko z bezmyślną jakąś i rozdrażnioną pasją opluwających, do niczego nie mogących się przywiązać i do niczego zapalić. Więcejby zaś było takich, którzyby się czuli naprawdę „synami ziemi“,

ziemi nieskończenie bogatej, nieprzebranie szcudrej, niewypowiedzianie łaskawej i dobrotliwej.

Może to nie jest tak łatwe, jakby się na pozór, w teorii zdawało. To odnalezienie samego siebie i wytworzenie sobie najbardziej odpowiedniego otoczenia naprawdę udać się może na własną rękę tylko jednostkom bardzo wybitnym, bardzo wyrobionym i samodzielnym. Człowiek, którego siła leży w umiejętności naśladownictwa, nie może się tak z dnia na dzień wyzbyć jednej z najbardziej zasadniczych cech swoich, nie może zając na własną rękę tworzyć i nie wpaść w kosztławe dziwactwo, poronione pomysły i śmieszne poprostu wybryki. Zatem pewne ogólne wskazania, pewien jeżeli nie typ, to rodzaj typów może być jednak pożądany?

Oczywiście—i na szczęście nie trzeba go szukać daleko, ponieważ jest on już—przynajmniej jako materiał—całkiem gotowy. Jest nim dawne budownictwo nasze, zwłaszcza budownictwo drzewne, zwłaszcza i przedewszystkiem dworek, który w dawnej swej postaci pierwowzoru zamiera i ustępuje z pola z przerażającą szybkością, ale który mógłby odżyć w nowoczesnem budownictwie współczesnych willi i domków podmiejskich polskich.

Rzecz prosta należałoby przedewszystkiem uwzględnić różnicę epoki, a tem bardziej różnicę celów. Niegdyś, początkowo dwór był niemal warownią—dziś, pomimo bandytyzmu—być nią nie potrzebuje; niegdyś był ważnym ośrodkiem gospodarczym, jak nim jest do dziś dnia jeszcze w dworze folwarcznym—w wypadku nas interesującym jest zwykłym, zamkniętym w sobie mieszkaniem, nie potrzebującym rozległych zabudowań dodatkowych; niegdyś przez jego ściany przelewało się bujne, hałaśliwe życie towarzyskie—dziś ani gusty, ani środki nie są po temu; dziś zresztą przybyło tyle udogodnień technicznych i tyle potrzeb dawniej nie odczuwanych, że o ślepem naśladownictwie dawnego typu nie może być mowy.

Ale tem niemniej wygląd ogólny i niektóre szczegóły ornamentacyjne są jeszcze dotyla żywe, że niema powodu oddawać ich do muzeum. Takimi są—nie wdając w szczegółowy i wyczerpujący rozbiór—dach łamany, który choć nie jest polskiego pochodzenia, ale przyjął się u nas i zrosł się z nami doszczętnie, wrota z daszkiem, nieodłączny dodatek dawnej siedziby szlacheckiej, takimi są tak często spotykane cztery po rogach alkierze, szczątki dawnych baszt obronnych i przedewszystkiem najbardziej może typowy i najpowszechniej znany ganek z wystawką, zastępujący dzisiejszą werandę. Wewnątrz sień duża, idąca w głąb domu do połowy szerokości, dziś w miastach dla oszczędności miejsca zastąpiona przez ciasny przedpokój, a jednak niepozbawiona wdzięku i celu; oprócz sieni zaś, tam gdzie moż a t. j.



gdzie jest jeszcze poddostatkiem drzewa — kominek, ów klasyczny, rozkoszny kominek, który w pewnych momentach wszystkich przy sobie jednoczy, który gada i żyje, który naprawdę sam jeden ma tyle wyrazu, co całe pozostałe mieszkanie i który zresztą nie wyłącza zupełnie pieca, o ile tego zachodzi potrzeba. Jeszcze dla tych, którzy się nie boją obrazić oka na rzeczy mniej zwykłej i zaruconej—pięknie profilowane belki u pułapu, zamiast bezmyślnie gładkiego i pustego sufitu lub zamiast śmiesznych na nim pseudo-wspaniałych sztukaterii.

Tyle na początek. Dalszy rozwój powstać może sam przez się drogą ulepszeń i upiększeń. Tego typu ogólnego—nienarzuconego zresztą bynajmniej jako mody, jako nowej odmiany snobizmu—powinno być tyle właśnie, ile potrzeba, żeby dać punkt oparcia ludziom, niedowierzającym swojej pomysłowości, żeby pohamować krzywo lub niesfornie rozlążące się koncepty. Resztę trzeba dodać, trzeba może nawet dopiero z biegiem czasu odnaleźć i ustalić. Materiału nie brakuje.

Budownictwo polskie, jakkolwiek niebogate w porównaniu z innymi, jakkolwiek co gorsza zniszczone i zmarnowane do ostatecznych granic, daje przecież nawet w okrucinach tyle właśnie ile potrzeba, żeby było z czego zacząć odbudowę czy ją dalej po logicznie prostym gościńcu myśli prowadzić.

W samej nawet literaturze znajdziemy nie jeden pomysł wart zapamiętania i uwzględnienia. Bo czyż nie jest mądry np. stary, zdawna w Polsce przyjęty zwyczaj, żeby dom budować na jedenastą godzinę t. j. tak, żeby go przed samym południem słońce oświecało od frontu i żeby w ten sposób wszystkie ściany miały swoją porcję promieni słonecznych.

Co się zaś tyczy zabytków in natura, to jeże-

li samych dworów zostało dzisiaj niewiele, za znakomity materiał służyć mogą bogatsze od nich nieraz ornamentacyjnie domy mieszczkańskie, kościółki i cerkiewki, bóżnice, znakomicie nieraz nawiasem mówiąc dostosowane do stylu naszego budownictwa, jakiś ocalały gdzieś szczęśliwym trafem fragmentek, jakiś szczyt, łuk podsieniowy, drzwi kute, wyrzeźbione ozdobne (jeszcze jeden szczegół architektoniczny nadający do rozwinięcia i wyzyskania).

Stoi ku pomocy dobrze i gruntownie opracowane budownictwo Podhala, znaleźć niejedno można w bardziej zwłaszcza zapadłych kątach w chacie włościańskiej czy w jakimś sterczącym samotnie lamusiku lub śpichlerzyku.

Tylko szukać, zbierać, zapamiętywać sobie i dobierać. Komuż zaś zadanie to łacniej przypada, jak nie krajoznawcy, temu oczywiście, który chodzi po kraju z otwartymi oczyma i szuka tego, o czym mu nie powiedział przewodnik. Jakkolwiek bowiem znaczna część takich zabytków jest już oddawna odnaleziona i opisana (w znakomitem „Budownictwie drzewnem w dawnej Polsce“ niestrudzonego Zygmunta Glogera przedewszystkiem) nie jest powiedziane, że nic opuszczone nie zostało i inna jest rzecz widzieć rzecz w książce, a inna wmyśleć się w nią, wżyć i zrozumieć jej logikę wewnętrzną w żywym bezpośrednim zetknięciu.

Tylko chcieć. I nie budować na szmaragdowych łąkach koszar, bo tych — więzieniem śmierdzących—mamy dosyć już w mieście. A po niedługim nawet szeregu lat, skoro te usiłowania będą przez wszystkich zrozumiane i odczute, polska wystawa miast ogrodów, nie będzie się miała czego wstydzić przed obcymi. Tamte mogą być bogatsze, boć starsze i mocniejszymi budowane rękami. Nasza będzie nam miłsza, boć nasza.

Boruta.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



D. 28 czerwca wyjechała z Włocławka w Poznańskie wycieczka, urządzona staraniem tamtejszego Oddziału P. T. K. Dojechawszy specjalnym pociągiem wązkotorowej kolejką cukrowni Dobre do Niegóbalic i obejrawszy po drodze w Płowcach pomniki bitwy Łokietkowej, w opłakanym niestety znajdującej się stanie, ruszono końmi do Gopła. W czasie trzygodzinnego przejazdu śrubowcem przez jezioro dostrzedz można by-

ło po lewej stronie ładnie zabudowaną wieś Łuszczewo, gdzie według tradycji stała niegdyś pasieka Piasta. Przybywszy do Kruszewicy i nasyciwszy się widokiem z wieży zamkowej, dojechano do Inowrocławia, którego piękny, a zagrożony zniszczeniem wskutek głośniejszej katastrofy kościół parafialny oglądano pod przewodnictwem ks. Laubitzja już dnia następnego od rana. Niestety przyszłość jego budzi najpoważniejsze obawy, przed paru bowiem tygodniami zaledwie nastąpił nowy objaw zapadnięcia się podłogi, a nagromadzonych dzieł sztuki usuwać i ratować nie można ze względu na toczący się proces o odszkodowanie. Pocięchą i pokrzepieniem był natomiast widok starożytnego kościółka N.

M. P., cennego zabytku budownictwa z XIII w., odrestaurowanego niedawno troskliwie przez ks. Laubitza, Zwle-
dzawszy saliny, pośpieszyła wycieczka do Gniezna,
gdzie pod przewodnictwem ks. Rata i dr. Trepińskiego
obejrzano—zbyt pobieżnie dla krótkości czasu nie-
stety—słynną katedrę i po wysłuchaniu prastarej „Bo-
garodzicy” przybyła wieczorem już do Poznania, gdzie
na dworcu czekało grono panów i pań, a przed dworcem
zamówione tramwaje elektryczne. Zwiedzaniu mia-
sta poświęcono dzień następny. Zaczawszy od dawne-
go zamku książęcego, obecnego archiwum państwowego,
obejrzano katedrę z jej przepiękną „Złotą” kaplicą,
Muzeum Tow. Prz. Nauk, gdzie objaśnień udzielał dy-
rektor dr. Erzepki, ks. Dominikanów i śliczny zabytek
barocku w Polsce — ks. pojezuicki, skończono zaś na
Zwierzynie. Dzień zakończono w towarzystwie inteli-
gencji miejscowej na miłej i serdecznej pogawędce,
d. 1 lipca zaś wrócono—z dwugodzinnym postojem w To-
runiu—do domu. Dzięki piękności i bogactwu zaby-
tków i pamiątek, jakie się na szlaku podróży znalazły,
dzięki również szczerzej gościnności i życzliwej pomo-
cy, jakie z tej i tamtej strony kordonu napotymano,
wycieczkę można uważać za udaną w całym tego sło-
wa znaczeniu.

O przebiegu pogody w miesiącu czerwcu 1910 r.

(sprawozdanie wydziału meteorologicznego przy
-- Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem¹⁾. --

Przebieg pogody w ubiegłym czerwcu był w na-
szym kraju nader zbliżony do przebiegu w całej Euro-
pie środkowej. Pierwsza połowa miesiąca, do 16-go
czerwca, odznaczała się niezwykle ciepłem oraz czę-
stymi burzami, połączonymi niekiedy z gradem. Z dniem
17-ym czerwca pogoda zmieniła się na chłodną i zmieni-
ną. Temperatura obniżała się stale do dnia 21-go
czerwca, w którym w całym kraju notowano mi-
nimium temperatury, dosięgające 20° C, a wed-
ług wiadomości, nieopartych zresztą na obserwacji in-
strumentalnej, w zakątku południowo-zachodnim kraju
był nawet przymrozek nocny. Potem temperatura po-
dniosła się, nie dosięgając jednak wysokości normalnej,
aż dopiero dnia 30-go czerwca.

Opady były dość częste, ale początkowo miały
charakter miejscowy i nie obejmowały znaczniejszych
przestrzeni. Od dnia 23-go czerwca do końca miesiąca
trwała w całym kraju pogoda dżdżysta. Wysokość opa-
dów przez cały miesiąc wyniosła przeciętnie 72 mm.,
niewiele mniej od wieloletniej wysokości średniej; ale
rozkład opadów w różnych częściach Królestwa był
bardzo nierównomierny. Najobfitsze deszcze spadły w
powiatach środkowych i południowo-zachodnich (miejs-
cami do 140 mm), o wiele mniejsze — w części pół-
nocnej Kaliskiego, części zachodniej Lubelskiego oraz
w Siedleckiem (mniej niż 40 mm).

Pomimo chłódów w drugiej połowie czerwca tem-
peratury średnie miesięczne, wynoszące przeciętnie 18,8°
C, wypadły wyższe od średniej wieloletniej przeszło

o 2° C, a to z powodu upalnego charakteru pierwszej
połowy miesiąca. Najgorętsze okresy przypadły dnia 5
oraz około dni 11-go i 15-go czerwca. Maximum tem-
peratury dosięgało w tych dniach niezwyklej, jak na
czerwiec, wysokości 33° i więcej (Płockie).

Tabela meteorologiczna.

a) Temperatura:

Nowa Średnia miesięczna 18°8; Max. 29°5 (w dn. 5)
Stupia Min. 5°7 (w dn. 21)

b) Opady:

	Suche- dniów	Bieliny	Św. Krzyż	Nowa Stupia
Wysokość w milimetrach:	64	53	87	104
Liczba dni z opadem:	17	15	17	17

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

† Brak wzorowych muzeów prowincjonalnych za-
stępuje na razie dobra obywatelska wola tych, którzy
otwierają dla szerszego ogółu swe domowe rodzinne
pamiątki i dużym nakładem tworzone kolekcje ama-
torskie.

Dobry przykład w tym kierunku dał właściciel Sie-
prawek pod Lublinem, p. E. Sokołowski, posiadacz pię-
knych zbiorów artystycznych, w których ogólną uwagę
zwraca obecnie obraz van Dycka „Głowa Chrystusa”.
Jest to zaledwie jedno z czterech arcydzieł van Dycka,
posiadanych w Polsce.

P. E. Sokołowski dla zwiedzających otwiera swe
muzeum w niedziele i święta i sam udziela objaśnień.
To też z Lublina i z poblizkiego Natęczowa przybywa-
ją liczne wycieczki.

Sieprawki położone są o 8 wiorst od Natęczowa,
a o 12 od Lublina.

† Piszą do Iskry, wydawanej w Sosnowcu, że
„w ubiegły poniedziałek (d. 27 z. m.) o g. 12 m. 10
w nocy na południowo-wschodniej stronie nieba ukaza-
ła się łódź świetlna, wielkością przechodząca dwa ra-
zy księżyc. Po kilku minutach łódź owa zaczęła się
obracać i wkrótce utworzyła się kula ognista, która po
kilku sekundach zgasła”.

Zjawisko to obserwowano kilka osób.

† Z pogranicza gub. Wileńskiej i Mińskiej dono-
szą do Kur. Lit. co następuje: „W okolicach Rado-
szkowic, u pp. Snitków w Karlsbergu, bawi obecnie
kompozytor, p. Rogowski z Wilna w celu zbierania
motywów białoruskich. P. Rogowski zdobył już bar-
dzo wiele pożądanym motywów — brakuje mu obecnie
głównie nuty pieśni, śpiewanej przy obchodzie „Dzia-
dów”. W naszych stronach motyw ten zaginął, bo to,
co się znajduje, jest naleciałością obcą, z jakiegoś śpie-
wu żołnierskiego zaczerpniętą. Lud nasz, obchodząc
„dzłady”, więcej się modli za duszyczki, niż śpiewa,
a co jest charakterystyczne, iż najzagorzalsi nawet pra-
wosławni muszą odmawiać „Anioł Pański” i „wieczne
odpoczywanie” po polsku, bo to do tradycji „Dzia-
dów” należy. Może w innych stronach, w mińszczy-

¹⁾ Sprawozdanie powyższe o przebiegu pogody jest opraco-
wane na zasadzie spostrzeżeń, nadesłanych przez nieliczne dotąd
stacje Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz obfitszego
materiału, posiadanego przez Biuro Meteorologiczne przy Mu-
zeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

źnie, lub w mohylowszczyźnie, gdzie Białoruś jest czyściejsza, niż tutaj, motywy dawnych pleśni, nuconych w czasie obchodu „Dziadów“, dotąd się jeszcze przechowały. Tu zaś one, w potoku różnych napływów, utonęły bez śladu“.

+ Bolesne rzeczy opowiada w Kurjerze Litewskim p. Wandalim Szukiewicz o zamku w Lidzie: „Szczątki zamku ludzkiego jeszcze mniej mają szczęścia niż inne. Bardzo mało się tu czego zostało, a i to co jest, podlega systematycznemu rujnowaniu nie tylko przez chciwych na tak wyborowy materiał, jak kamienie z muru, mieszkańców sławetnego grodu, lecz nawet przez niepowołanych opiekunów, którzy jakby się uwzięli, by zniszczyć wszelkie cechy właściwego takim zabytkom piękna i przemienić je w nic nie znaczące ściany z kamienia.“

Przekonałem się o tem naocznie, gdy przed kilku tygodniami zwiedzałem mury zamku lidzkiego w towarzystwie wytrawnego znawcy zabytków architektury, księdza Kanonika Kozickiego, oraz znanego badacza przeszłości Wilna p. Wac. Studnickiego.

Ślady tej potężnej niegdyś budowy dziś widnieją tylko w smutnych szczątkach czterech ścian czworobocznego muru obwodowego, w jednym tylko węgle północno-wschodnim związanego pod kątem prostym, zresztą w trzech innych świeżącego szerokimi wyłomami, tak że właściwie ściany trzymają się jedynie dzięki dokładnemu ich pionowi, jak również grubości dochodzącej do 2,5 m, oraz doskonałemu wapiennemu spoidłu. Wogóle dziś stan tych resztek jest rozpaczliwy, a jednak niedawno jeszcze było znacznie lepiej, i można było cały charakter budowy przy restauracji zachować chociaż w konturach. Na fotografii zdjętej przez p. St. Fleury'ego lat temu kilkanaście, widzimy jeszcze sterczące ponad mury resztki dwóch narożnych, wewnętrznych baszt, t. zw. donjonów broniących niegdyś węglów północno-wschodniego i południowo-zachodniego. Obecnie tylko większe kupy gruzu mówią o ich istnieniu. Czy dwa inne węgły miały jaką obronę, tego dziś nie sposób skonstatować“.

„Cóż mówić, kiedy nawet ci, którzy mieli dobre chęci przyczynienia się do podtrzymania ruin, zrobili to najfatalniej w świecie. Los padł na ścianę północną, jako na zwróconą ku miastu. Więc przedewszystkiem wyrównano pod pionem stronę wewnętrzną muru, zacierając nawet ślady istniejących tu niegdyś framug

arkadowych; na zakończenie zaś wierzch muru i jeden z boków zalano równo mieszaniną wapna.“

Po takim „odnowieniu“ ściana ma wygląd mazurek wielkanocnych“.



+ Od pewnego czasu niemieckie pisma liberalne zestawiają statystykę wielkiej własności ziemskiej na Górnym Śląsku, ażeby ją dla swych celów wyzyskać. Obecnie znajdujemy znowu w *Bote aus dem Riesengebirge* wyszczególnienie imienne wielkich właścicieli na Górnym Śląsku.

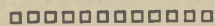
W 15 powiatach wiejskich własność 258 wielkich właścicieli wynosi prawie 500.000 hektarów, czyli prawie połowę tych powiatów. Największe własności mają: książę na Ujeździe — 40,001 h., książę na Pszczyńcu — 40,437 h., książę na Raciborzu — 33,394 h., książę Stolberg-Wernigerode — 26,517 h., książę Hohenlohe Ingelfigen — 25,486 h. i hr. Henckel książę Donner-smarck — 21,942 h.

Ogółem należy do tych sześciu właścicieli 200.000 hektarów, przyczem nadmieniamy, że 5,600 h. jest kwadratową milą. Posiadłości ks. Stolberga-Wernigerode przeszły za 17 milionów marek w posiadanie hr. Tiele-Winkler. W roku 1909 posiadał hr. Thiele-Winkler tylko 14,380·3 h., po nowym nabytku własność jego powiększyła się do 40,897·3 h., czyli przeszło 7 mil kwadratowych. Z większej własności niemieckiej na Górnym Śląsku należało do majoratów 258,128·45, czyli 24,33 procent obszaru 15 powiatów. Z liczby 258 wielkich obszarników było w r. 1909: zwyczajnej szlachty 64, baronów 14, hrabiów 32, książąt 7 i królów 3 (pruski, saski i wirtemberski).

Zwyczajna szlachta posiadała 70,520·77 h., baronowie — 11,458·25 h., hrabiowie — 117,707·56 h., książęta — 198,616·60 h. i królowie — 21,635·89 h.

Czyni to razem 419,939·07 h.; połowa więc prawie Górnego Śląska była w r. 1909 własnością 120 rodzin szlacheckich i magnackich.

+ Dobra rycerskie Połom w pow. rybnickim na Górnym Śląsku nabyli od dyrekcji dóbr hrabiów Haugwitz miejscowi gospodarze Polacy za pół miliona marek i zamierzają je rozparcelować. Połom obejmuje przeszło 900 mórg.



TREŚĆ: *B. Janusz* — „Pochodzenie i zastosowanie ornamentu geometrycznego w ceramice przedhistorycznej“ — c. d. (z 4 rys.); *Gustaw Manteuffel* — „O zamkach polsko-inflanckich“ — c. d. (z 2 rys.); *St. Ciszewski* — „Ogródek morwowy z r. 1524; *Szymon Matusiak* — „Soboty“; *St. Warcholik* — „Niepołomice“ dok. (z 3 ilustr.); *St. Th. Sven Hedin* w Tybecie“ c. d. — (z 1 ilustr.); *Boruta* — „Gawędy krajoznawcze“; Z polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Kronika Krajoznawcza.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował *Mikołaj Wisznicki* — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i łąkał *Wacław Domański* — Odbijał na maszynie *Waleryan Szlicht* — Kłisze wykonano w zakładzie *B. Wierzbickiego i S-ki* — Papier krajowy z fabryki *A. Moeza w Piliicy*.